

## Studnia nieszczęścia



a początku był strach. Strach przed chorobą o wiele bardziej groźną niż te, które dziś znamy - strach przed cholera. Zagrożenie epidemią sprawiło, że w 1892 roku ówczesne niemieckie władze Piły zarządziły zbadanie stanu sanitarnego miejskich studni. Wyniki okazały się fatalne. Wiele z nich skażonych było bakteriami. W tej sytuacji postanowiono dokonać odwiertu nowych studni artezyjskich. Wiercenia podjęto w wybranych punktach miasta. Prowadzili je doświadczeni i biegli w swoim fachu studniarze z firmy Hutha, piłskiego przedsiębiorcy.



Pogodny, wiosenny dzień 1893 roku. Na jednej z posesji przy ulicy Małej Kościelnej (w rejonie obecnej al. Piastów) studniarze powoli kończyli pracę. Minęło południe, wkrótce fajrant i przerwa w robocie do poniedziałku. Majster, kierujący pracą, był zawiedziony. Spodziewał się, wnioskując z głębokości wiercenia i zawartości pobieranych próbek, że już powinni osiągnąć wodonośne złożo. Trudno! Trzeba będzie zaczekać jeszcze dzień czy dwa

Nagle okrzyk jednego z wiertaczy zasygnalizował, że dzieje się coś, na co czekali od szeregu dni.

- Woda! Jest woda!

Majster podbiegł do odwiertu, gdzie już skupili się robotnicy. Ale cóż to? Wokół otworu, zabezpieczonego rurą, grunt zaczął falować, zapadać się i nagle - nim zdołano podciągnąć wiertło w górę - trysnął ku niebu z ogłuszającym łoskotem potężny słup żółtoburej wody. Bił ku górze, wypychany ogromną siłą na wysokość wielu metrów, wyżej niż dachy okolicznych domów.

Wiertacze cofnęli się zaskoczeni. Wokół poczęli gromadzić się przypadkowi przechodnie. Upływały minuty, a ta niebywała erupcja dziwnej cieczy nie słabła. Przeciwnie, zdawała się przybierać na sile, rosnać ku górze i wszcz.

Majster, doświadczony studniarz, obserwował bijący ku niebu żółtawy słup z rosnącym niepokojem. Nigdy dotąd, choć nie mało już



studni wywiercił, nie spotkał się z takim zjawiskiem. A to, co tryskało z głębi odwiertu, nie było z całą pewnością wodą, której szukali. Gdy przyniesiono wypełnione nią wiadro, nie było wątpliwości. W naczyniu znajdowała się mętna, gęsta, żółtobrunatna mieszanina wody, piasku i łu.

Tymczasem wokół odwiertu tworzyły się wielkie, błotne kałuże i strumieniem spływały na boki, ku stojącym w pobliżu zabudowaniom. Wtedy majster zdecydował.

- Zasypać otwór! - nakazał.

Poszły w ruch taczki i łopaty. Ściągnięto dodatkowych ludzi do pomocy. Wkrótce wokół odwiertu wyrósł pagórek. Otwór udało się zasklepić. Gdy zmęczeni wysiłkiem studniarze zabierali się powoli do domu, ktoś zauważył, że w ubitym i umocnionym kamieniami pagórku pojawił się mały otwór, którym poczęła wypływać woda. Początkowo powoli, ale rychło wytrysnęła w górę, rozsuwając z wielką mocą kamienie. Znowu bił w niebo potężny słup cieczy!

- Worki z piaskiem! - zawołał majster. - Tak, jak przy umacnianiu wałów, gdy napiera powodziowa fala - tłumaczył. - Może w ten sposób uda się zdławić ten przekłęty odwiert?!

Pomysł wydawał się dobry. Do pracy stanęło dodatkowo wielu ochotników. Nie liczono czasu. Otwór zatkano workami z piaskiem. Wszystko przyciśnięto kamieniami. Strumień zdławiono. Zmęczeni robotnicy zaczęli się rozchodzić. Zapadał spokojny majowy wieczór. Na wszelki wypadek postanowiono jednak, że kilku ludzi na zmianę będzie czuwało przy zasypanym odwiercie. Kto wie, co się może stać w nocy...

I stało się! Jeszcze zanim zegar wybił północ na kościelnej wieży, złowroga fontanna ożyła! Woda, wypychana z głębi ziemi kolosalnym ciśnieniem, zmieszana z piaskiem, przypominała osobliwy, błotny gejzer. Mało kto spał tej nocy w pobliskich domach. Spływająca od odwiertu woda żłobiła koryta licznych strumieni, podtapiała piwnice, tworzyła rozlewiska i bajora na podwórzach, zagłębieniami uchodziła do pobliskiej Gwdy. Jakby całe, wielkie podziemne jezioro, niebaczenie przez człowieka obudzone, chciało wydostać się na powierzchnię.



Próby powstrzymania żywiołu przez fachowców z zewnątrz oraz przez geologów sprowadzonych z Berlina również zakończyły się niepowodzeniem. Studnia zaczęła zagrażać miastu. Ściany domów w pobliżu odwiertu popękały, grożąc zawaleniem, a mieszkańców ewakuowano. Pod koniec maja zasięg zapadającej wokół otworu ziemi szybko się rozszerzył. W związku z pęknięciami jezdni wstrzymano ruch uliczny, a straż pożarna pośpiesznie wysiedliła mieszkańców kolejnych budynków.

W każdej chwili spodziewano się jeszcze gorszego nieszczęścia. Pojawiły się nawet plotki o możliwości całkowitej zagłady miasta. Podsycała je lokalna prasa oraz żądni sensacji przyjezdni korespondenci. O pilskiej katastrofie zrobiło się bowiem głośno w całych Niemczech, a nawet poza ich granicami.

Tymczasem władze miasta, przerażone rozmiarami strat, nieustannie szukały fachowej pomocy z zewnątrz. Dość nieoczekiwanie zaproponował ją technik i budowniczy studni, niejaki Beyer, który miał już na swym koncie wiele udanych wierceń na terenie Poznania oraz w pobliskiej Chodzieży. Człowiek ten obiecywał nie tylko ujarzmienie studni, ale także dostarczenie miastu z owego odwiertu zdrowej wody pitnej. Dotychczasowe rury o średnicy czterech cali zastąpił ośmiocalowymi, a następnie, po dotarciu do głębokości 16 metrów, zatrzymał wypływ wody. Miasto odetchnęło z ulgą, a zachęcony sukcesem Beyer ani myślał o zaniechaniu pracy, wszak obiecywał władzom miasta studnię ze zdrową wodą pitną. Kontynuował więc wiercenia.



15 lipca, podczas przerwy obiadowej, zadygotała ziemia w rejonie odwiertu. Całe dotychczasowe wyrobisko wraz ze zgromadzonym sprzętem, a także ciężkimi szynami i granitowymi płytami w jednej chwili zniknęło w rozpadlinie. Tylko pora, kiedy to nastąpiło, uchroniła przed ofiarami w ludziach. Błyskawicznie postępujące zapadlisko rozszerzało się w kierunku obecnej ulicy Ossolińskich. Jedna po drugiej zapadały się w ziemię i rozsypywały kamienice. Łamały się z ogłuszającym

trzaskiem belki i wiązania dachów, w niektórych budynkach runęły całe ściany, ukazując zdemolowane wnętrza pomieszczeń. Zniszczeniu uległo blisko dwadzieścia domów, 86 rodzin w jednej chwili pozostało bez dachu nad głową. Rozmiary szkód oceniono na blisko milion marek.

To tragiczne zdarzenie stało się głośne. Liczne gazety pisały o Piłę jako tonącym mieście. Organizowano zbiórki pieniędzy na rzecz mieszkańców dotkniętych kataklizmem.

Fatalnym odwiertem zaczęli ponownie zajmować się najlepsi geolodzy niemieccy. Snuto najprzeróżniejsze hipotezy. W atmosferze domysłów i zwyczajnych plotek aż do 1 września 1893 r. studnię pozostawiono w spokoju. Jedynie niestrudzony Beyer kontynuował pracę przez dwadzieścia wrześniowych dni, to jest do chwili usunięcia zatyczki, mocującej czop zatykający rurę. Bowiem kiedy to uczynił, z rury ponownie buchnął silny strumień wody. Wypływ ten skierował drewnianymi korytami, poprowadzonymi przez proboszczowski ogród (obecnie tereny hotelu „Rodło”), do Gwdy. W dniu 2 listopada 1893 r. nieopodal odwiertu pojawiło się samoczynnie drugie źródło wypływu, które własnymi siłami wyżłobionym rowkiem wartko kierowało ku rzece uchodzące wody.

Kilka dni później doszło do kolejnej katastrofy. 11 listopada 1893 r. po południu studnia zawaliła się wraz z całym osprzętem. Na szczęście znowu obyło się bez ofiar w ludziach. W tej samej chwili bez czyjejkolwiek ingerencji wypływ wody niespodziewanie ustał.



„Studnia nieszczęścia”, jak ją wówczas nazywano, kosztowała Piłę 42 zniszczone domy ze 127 mieszkaniami i ponad milion marek. Ale w historii miasta było to niewątpliwie najbardziej spektakularne wydarzenie. Wieść o nim dotarła nawet na dwór cesarza. Aby zaspokoić jego ciekawość, pilski fotograf T. Graszyński wykonał serię zdjęć i, oprawiwszy je w album, wysłał do Berlina. Z Niemiec wieść o studni trafiła do prasy francuskiej i angielskiej. Piła miała swoje - jedyne jak dotąd - pięć minut w historii Europy.